

## „PANIE, PRZYJDŹ I ZOBACZ!” OBRZĘDY POGRZEBOWE A PRZEKAZ WIARY

*O śmierci, my ci dzięki składamy za światło,  
jakie rozlewasz na naszą nieświadomość...*

Bossuet <sup>1</sup>

Wiarę przekazuje się nie tylko poprzez katechizm. Może ona równie dobrze ukazać się podczas pogrzebu, o ile tylko nie zechce się ukryć gdzieś głęboko chrześcijańskiej nadziei. Może zaś to nastąpić dzięki modlitwie towarzyszącej homilii, a zwłaszcza poprzez Mszę świętą, która jest przecież bardzo istotną formą niesienia pomocy i wstawiennictwem wspólnoty za zmarłego. Nie zawsze wiąże się ona ściśle z samym pogrzebem, albowiem może zostać odprawiona także po nim, i to nawet kilkakrotnie (siedem dni, miesiąc, rok...). Podczas niej, poruszeni głęboko żyjący, którzy otaczają zmarłego, będą mieli — być może — szansę na nagłe otwarcie się, które nie pomniejszy w niczym ich bólu, lecz da im poczucie sensu i ukaże zarazem jakiś inny wymiar. Pogrzeby są przeto pomimo wszystko, nosicielami życia nieoczekiwanego, życia Boga samego. Chodzi jedynie o to, aby ta ich treść nie została zmarnowana ani zaprzepaszczona.

Nierzadko zaledwie tylko tolerowane, jako powtarzająca się wciąż pańszczyzna, pogrzeby stają się poniekąd samą istotą posługiwania kapłańskiego, zwłaszcza w kraju starzejącym się, czy też w parafiach miejskich, mających na swym terenie jakiś wielki szpital. Miło jest celebrować chrzty lub małżeństwa. Ale pogrzeby? Można by stąd logicznie wnioskować o konieczności odciążenia, na ile to możliwe, kapłanów od tego wymiaru ich posługiwania, bądź to ograniczając ceremonie, bądź też powierzając znaczną ich część wiernym świeckim, odpowiednio przygotowanym do realizacji tego zadania.

\* Autor, człowiek świecki, profesor historii na uniwersytecie w Rennes i naczelny redaktor francuskiej wersji *Communio*, snuje te refleksje jako naoczny świadek wielu obrzędów pogrzebowych.

<sup>1</sup> *Kazanie o śmierci, wygłoszone w Luwrze 22 marca 1662 r., w: Wybór pism kaznodziejskich Bossueta* (tłum. M. M. Paciorkiewicz), Poznań—Warszawa—Wilno—Lublin 1931, s. 130.

Z troski o dobre samopoczucie odnośnego personelu można by łatwo przejść do rozważań bardziej duchowych, dodając przy tym nowy jeszcze argument, że Bóg nie jest Bogiem umarłych lecz żyjących. Księża mają coś więcej do zrobienia, aniżeli tylko troszczyć się szczególnie o zmarłych; troska taka może oczywiście sprawiać pewne zadowolenie osobom bliskim zmarłego, a zwłaszcza jego rodzinie, której powinno się jednak wyjaśnić, że Msza święta nie jest nieodzowna, a może byłaby nawet nieodpowiednia dla zmarłego lub jego otoczenia.

Tutaj właśnie uwidacznia się duszpasterska (ale czy w pełni autentyczna?) troska o dopasowanie obrzędu do zmarłego lub do większości członków danego zgromadzenia, przynajmniej w tym, że zdaje się sytuować ten obrzęd w jakim kontakcie ze zmarłym. Staje się to szczególnie wyraźne w przypadku, gdy prośba o chrześcijańską obecność wypływa od osoby lub rodziny „oddalonej od Kościoła” To właśnie pragnienie dopasowanej odpowiednio odpowiedzi, czyli postawy zmiennej w zależności od współrozmówcy, doprowadziło już niekiedy do maksymalnej swego rodzaju rezerwy duszpasterskiej. „Nie chcę korzystać ze śmierci, aby «uprawiać religię»” — napisał jeden z kapelanów szpitalnych<sup>2</sup>.

Do wykazu tych różnych nastawień, idących mniej lub bardziej w tym samym kierunku, dorzucmy jeszcze jedno stwierdzenie. Otóż Kościół w wielu diecezjach francuskich, i nie tylko, miał wiele trudności z mówieniem o śmierci i o życiu wiecznym. Bardzo często jest on, jak się wydaje, współnikiem tego szeroko zakrojonego ukrywania śmierci, tak typowego dla dzisiejszego społeczeństwa. Co gorsza, zdaje się on sam być także równie niepewny i milczący, tak jak ludzie gromadzący się przy trumnie. Co najwyżej, w przypadku audytorium uważanego za „swoje”, zdobędzie się na kilka przypomnień podczas Mszy pogrzebowej (o ile nie została ona jeszcze zakazana przez ordynariusza miejscowego). Obecni zaś usłyszą wówczas coś, o czym im nie mówiono od dłuższego już czasu, albo też nigdy dotąd dokładniej nie wyjaśniano. To dobrze, ale przecież to bynajmniej nie wystarcza.

<sup>2</sup> Na tym niepokojącym cytacie skupia się w końcu książka o. Viberta, *Les funérailles avec les personnes éloignées de l'Eglise*, Paris 2000, s. 140. Oparta na bogatym doświadczeniu i świadcząca o wielkiej trosce o bliskość i wsparcie, książka ta, obfitująca w cenne praktyczne sugestie i uwagi, kładzie słusznie wielki nacisk na obrzędy. Mam natomiast poważne wątpliwości, gdy chodzi o poszukiwanie jakiegoś innego obrzędu liturgicznego, który nie miałby nic wspólnego z Eucharystią, dla rzeszy ludzi obcych w znacznej mierze Kościołowi, tym bardziej wówczas, gdy ceremonii religijnego pożegnania zmarłego domagają się oni od katolika, który jest księdzem.

Poprzez mądre duszpasterstwo Kościół, nie przestając szanować ludzkich sumień, mógłby być obecny w całej pełni swojej roli głosiciela nowego życia i zbawienia dla wszystkich, która to rola nie może się przecież ograniczać do samych tylko „ostemplowanych” wiernych. Do czego miałyby służyć pierwsze słowa soborowej Konstytucji *Gaudium et spes*, gdyby troska o inkulturację prowadziła w końcu do ograniczania jej treści do samej tylko elity walczącej i uznanej za taką? Czy Kościół niejasny, „zamazany” lub milczący w takich okolicznościach nie stałby się tym, co Péguy nazywał „błędem mistyki”, a nawet pewną formą nie-obecności przy osobie znajdującej się w niebezpieczeństwie (rozpaczy)? Mieć słowa życia wiecznego i ich nie wypowiadać lub tylko je wyszeptywać wobec audytorium uważanego za głuche, obojętne, wrogie lub niegodne: czy to jest w ogóle możliwe do pojęcia i do zrozumienia?!

Jeżeli więc nie da się w konkretnej sytuacji odprawić Mszy świętej, niech będzie przynajmniej odpowiednio dostosowane do okoliczności przemówienie połączone z modlitwami. Najlepiej by było, rzecz jasna, odprawić Mszę świętą, czyli Słowo Eucharystii. Dlaczego pozbawiać się bezsensownie tego, co najlepsze?

Argumenty przytaczane na poparcie stanowiska odmiennego od mojego i na rzecz form celebracji, różnych od Eucharystii, są w swej istocie następujące:

— oficjalna liturgia przemawia odgórnie i do ludzi wierzących, bez żadnej konfrontacji z konkretnymi trudnościami, i dlatego nie jest w stanie odpowiedzieć na potrzeby tych, którzy „wierzą inaczej” lub są ateuszami;

— celebransi „odnoszą wrażenie, jakoby mówili do obecnych, którzy nie podzielają ich przesłania, ale są zmuszeni do słuchania i milczenia”;

— „mają ponadto wrażenie, że wykonują jakieś niezrozumiałe obrzędy, pomimo swoich wyjaśnień”;

— „są wreszcie świadomi tego, że nie tworzą jedności ze zgromadzeniem, chociaż chcieliby gorąco być razem z nim”<sup>3</sup>.

Cała ta argumentacja obraca się wokół trzech pojęć: zrozumienie (trudne), dialog (niemożliwy) i wspólnota (wymagająca często odbudowania).

Jeśli nie ma Mszy świętej, to dobrze by było, gdyby modlitwie za zmarłego towarzyszyło nauczanie wyjaśniające chrześcijańską nadzieję. Nie jest to żadne nadużywanie tej wyjątkowej sytuacji. Wyjdźmy bowiem od prostego stwierdzenia: różni członkowie te-

<sup>3</sup> Tamże, s. 26 i 39.

goż zgromadzenia są oddaleni, mniej lub bardziej, od Kościoła. Nie starano się nawet ich skłonić, aby doń weszli. Ksiądz nie odwiedził rodziny pogrążonej w żałobie, której na ogół w ogóle nie zna. „Uprawiać religię nad umarłym” — byłoby to narzucanie, poza Kościołem, chrześcijańskiego sensu ludziom, którzy tego nie chcą. Ale oni tutaj są! Wchodząc do świątyni, oczekują, iż usłyszą coś takiego, o czym mieli, być może, jakąś przybliżoną tylko ideę. Myślą mniej lub bardziej jasno o czymś takim, co kapłan może prawdopodobnie o wiele lepiej wyrazić, aniżeli ktokolwiek inny. Stąd poczucie niezadowolenia, a może także i rozczarowania, kiedy uzasadniona poniekąd troska o dopasowanie się do nich doprowadza w końcu do pozostawienia ich takimi, jakimi są. Kryje się w tym wielkie niebezpieczeństwo pojawienia się u nich myśli, że ostatecznie Kościół nie ma nic szczególnego do powiedzenia w tej kwestii, bądź też że kapłan, tak życzliwy i współczujący, jakim się może niekiedy faktycznie okazać, nie przynosi wraz ze sobą niczego więcej poza swoimi cechami osobowymi, względnie swą niezręcznością czy nieporadnością. Czynić, „co tylko w mojej mocy”, aby przyjąć to zgromadzenie, tak często zróżnicowane, i oddać się mu do dyspozycji, jest niewątpliwie godne pochwały; usunąć się natomiast niejako na plan dalszy — to już inna sprawa. W każdym razie nikt nie może zarzucić kapłanowi tego, że powie w swoim kościele coś niecoś o chrześcijańskim sensie śmierci i zmartwychwstania. Cóż bowiem powiedzieć o lekarzu, który nie chciałby wskazać lekarstw i zmusiłby tym samym chorego do samodzielnego ich wyszukiwania?

Zgromadzenia pogrzebowe są z samej swej natury bardzo zróżnicowane w swym składzie, tak że byłoby niekiedy bardzo trudno mówić o zgromadzonej wspólnotcie, w odróżnieniu od Mszy niedzielnej. Wokół ciała zmarłego gromadzą się żyjący, spośród których jedni są jakby zamurowani w swym bólu, nie myślący zupełnie o Bogu, a jeżeli tak, to tylko po to, aby Go oskarżać, inni z kolei oddają się Jego woli, jeszcze inni oczekują sensu i pocieszenia, ale bywają także tacy, którzy są obojętni, „nieprzemakalni”. Można by nie brać pod uwagę tych ostatnich, ale co z poprzednimi? Są wśród nich ludzie regularnie praktykujący, a także przychodzący do kościoła „okazyjnie”, a jeśli są to w większości katolicy, to i tak znajdują się wśród nich tacy, którzy nie za bardzo wiedzą, gdzie się w tej chwili znajdują, tacy, którzy szukają, jak i tacy, którzy odrzucają możliwość istnienia Boga. Niezależnie od tych stopni czy rodzajów, wszyscy, dosłownie wszyscy potrzebujemy w takich dniach mocnego, jasnego, wyrażanego bez obawy czy wstydu potwierdzenia zmartwychwstania. Chrześcijanin zo-

stanie wówczas utwierdzony w swojej, mniej lub bardziej żywej, wierze, inni usłyszą (może ponownie) samo „serce” orędzia chrześcijańskiego. Pogrzeb, jeśli Kościół w nim uczestniczy, nie jest przecież jakąś debatą czy kursem, lecz liturgią wspólnoty, nawet jeśli wierzący nie stanowią większości tegoż zgromadzenia. Nie wymaga się wówczas od Kościoła narzucania swojej doktryny, ale tylko tego, aby był tym, po co został ustanowiony, i to w pełni i bez wahania, zwłaszcza kiedy sam jest u siebie. Nie jest to bynajmniej lekceważenie tych, którzy są daleko od niego z ludzkiego punktu widzenia. Wprost przeciwnie, jest to oznaką wielkiego szacunku dla nich.

O wiele lepiej jest odprawiać pogrzeb ze Mszą świętą. Zdarza się niekiedy, że proboszcz lub ktoś inny odradza rodzinom uważanym, słusznie lub niesłusznie, za mniej wierzące, domagania się Mszy świętej. Jest to bardzo przykre. Niekiedy odmawia się takiej Mszy wszystkim wiernym w ogólności. Jest to po prostu niedopuszczalne!

W pierwszym przypadku trzeba przypomnieć, że wszyscy mają prawo do całości orędzia zbawienia, do pełni łaski i do wspólnoty świętych. Każdy jest na tyle dojrzały, aby słuchać lub nie, dać się poruszyć lub nie. Przesadna chęć dostosowania się do tego, co się — mylnie niekiedy — sądzi o ludziach, powoduje niebezpieczeństwo głębokiego ich rozczarowania i oszukiwania, a nawet — co jeszcze gorsze — głębokiego ich zranienia poprzez stworzenie wrażenia, jakoby Kościół był jakimś klubem mającym na celu duchowe zaspokojenie różnorodnych potrzeb, albo czegoś tam jeszcze, oni zaś zostali potraktowani jako niegodni Jezusa Chrystusa. Jeśli nawet ktoś jest daleki od Kościoła, jest to sprawa bardzo delikatna. Tymczasem sprawia się wrażenie, jakoby miało się wzgląd na osoby. A przecież Kościół nie ma nic wspólnego z jakimś podejrzliwym portierem luksusowego hotelu czy też ze sprzedawczynią lekceważącą już z góry źle ubranego klienta w przesłuszczeniu, że nie jest on w stanie zapłacić za to, co chce kupić. Albowiem Bóg jest tym Jedynym, który zaprasza nas do kupowania bez pieniędzy i bez granic. Jego łaski nie da się natomiast przewidzieć. Nie jesteśmy jej panami ani właścicielami, jeśli nawet przechodzi ona przez nas. Dlaczego więc szukać jakichś ceremonii zastępczych i wahać się z odprawieniem Mszy świętej, która jest autentyczną Ofiarą Chrystusowego odkupienia, a więc czymś największym i przekraczającym nawet to wszystko, co pojmujemy? Czy mamy tak postępować, przynajmniej niekiedy, na skutek troski, aby nie sprowadzać rzeczy świętych na manowce? Wielu księży odnosi wrażenie, że istotny sens tej celebracji wymyka

się olbrzymiej większości obecnych, i dlatego odczuwa uzasadniony poniekąd niepokój i brak satysfakcji. Niemniej Chrystus nie powiedział siewcy, aby rzucał ziarna wyłącznie na żyzną glebę. Wskazuje natomiast wyraźnie, że te ziarna padają nie tylko na ziemię, ale i na kamienie. O wiele lepiej jest więc się narazić na ryzyko niezrozumienia, obojętności, a nawet wrogości — tak bardzo frustrujących w takiej sytuacji — aniżeli na niebezpieczeństwo doprowadzenia do braku nadziei choćby jednego tylko uczestnika tego obrzędu. Istotne bowiem jest to, aby rozpacz nie triumfowała w tym tak ważnym momencie, w którym można i trzeba przekazywać autentyczną wiarę, i by rodziny nie były zostawiane samym sobie wobec trumny kogoś bliskiego, a tym bardziej wobec otwartego grobu, same ze swoim bólem, którego społeczność niezrędko im odmawia, a także wobec własnych tak bolesnych pytań.

Niekiedy zabrania się jednak stanowczo kapłanom odprawiania Mszy świętej podczas pogrzebu. Nie chodzi wówczas o zastrzeżenie jej dla osób praktykujących, a przynajmniej uznanych za takie, ale o całkowitej jej zlikwidowanie — dla wszystkich. Msza święta nie jest oczywiście żadnym przywilejem, przeznaczonym zwłaszcza dla elit; pozbawianie jej jednak wszystkich, poczynając od gorliwych katolików, uznawanych oficjalnie za takich, utożsamia się z dodawaniem nowej rany rodzinie zmarłego. Nie tylko traci ona kogoś bliskiego, ale oto Kościół, zamiast spieszyc jej z pomocą, traktuje ją bez miłości i miłosierdzia. Podobne nastawienie jest nie do przyjęcia także dlatego, że sam Kościół zgadza się bez większych niekiedy problemów na odprawienie Mszy świętej dla uczczenia osób, których życie publiczne bywa nawet gorszące... Czy wzięto pod uwagę, czym może być cierpienie tych, którzy wiedzą, że na ich własnym pogrzebie nie zostanie odprawiona Msza święta? a także cierpienie rodzin, które mają prawo liczyć na wsparcie i obecność kapłana? Czy Kościół miałby być autorytatywnym beztroskim biurokratą, nieczułym na swoich podwładnych, którym miałby nawet prawo utrudniać życie?

W sumie: jaki pożytek może wynikać z tego, że Kościół się okaże niestały wobec „źle wierzących”, nieświadomie, być może, lekceważący ludzi okazyjnie tylko praktykujących i tyrański dla wiernych regularnie praktykujących? Wiara, nadzieja i miłość doznają wtedy wielkiego uszczerbku, a Kościół staje się zdrajcą i oszustem. Tymczasem oczekuje się od niego tego, by w odniesieniu do śmierci i zmartwychwstania był jak najbardziej miarodajnym rozmówcą. Staje się on faktycznie nim wówczas, gdy spełniają się liczne warunki:

Po pierwsze, jeżeli Kościół uznaje, że podczas pogrzebu ma przed sobą żyjących niezwykle otwartych na jego gesty i słowa. Niezależnie od tego, czy jest człowiekiem praktykującym czy nie, chrześcijaninem lub nie, każdy obecny na pogrzebie widzi także siebie w trumnie: egoizm zostaje wówczas doprowadzony do ostateczności i równocześnie wystawiony najbardziej na zranienia. W zgromadzeniu znajdują się zawsze ci, którzy niczego w ogóle nie rozumieją i czekają tylko na moment posiłku (stypy) lub starają się o hart ducha, aby to wszystko jakoś jeszcze przetrzymać. Tym gorzej dla nich! Ale są także inni, których żaden chrzest, żadna komunia, żaden ślub nie zdołały uczynić aż tak ważnymi i czujnymi. Śmierć otworzyła za jednym zamachem wielki otwór grobowy, który codzienne troski zamaskują prawdopodobnie na nowo w bliskiej już przyszłości. Liturgia jest tu po to, aby dać im odczuć siłę chrześcijańskiej nadziei, przywracając sens słowom: bardzo znanym, zapomnianym lub też nieznanym. Wiara w zmartwychwstanie, potwierdzona własnym słowem kapłana, przeżyta na nowo w liturgii, może się pogłębić. Nie wszystko zawiera się w słowach i mało ważne jest to, czy wszystko się zrozumie. Znajduje się tu pociechę, ukojenie, które przenikają nawet przez to, co się jedynie przeczuwa, nie pojmując jeszcze tego jasno, przez gesty, których się nie wynajduje, przez cały obrzęd, który zespala w sobie strach, smutek i ból, wychowuje i prowadzi do ufego zdania się na Boga.

Oddać Bogu kogoś bliskiego, drogiego, a choćby tylko znajomego, zanieść go do grobu — to nie są sprawy nieważne, bylejakie. Dotyka się wówczas tego *sacrum*, które liturgia włącza w swój obrzęd. Pierwsze cywilizacje poznaje się po ich grobach i po tym, o czym się domniemywa, iż były to ówczesne obrzędy pogrzebowe. Nawet w przypadku silnej wiary mamy do czynienia ze świadomością głębokiej tajemnicy, w którą liturgia pozwala nam wnikać. Gest, obrzęd są wtedy decydujące; ważne jest jednak także i to, aby wiedziano, że spełnia się je dla dobra, a więc nie pośpiesznie i chaotycznie, a tym bardziej nie byle jak. A to głównie nie dlatego, że takie podejście do nich czyniłoby je mniej skutecznymi dla zmarłego, lecz jedynie z tej racji, że siła ich uśmierającego oddziaływania będzie miała wówczas zdecydowanie większy wpływ na wiarę żyjących. Liturgia zmarłych nie znosi (nie cierpi) żadnych sztuczek (kuglarskich) ani subiektywności. Powinna bowiem z samej swej natury dać solidną pewność, której tak często nam brakuje, a której ludzie nie są w stanie wynaleźć. W swych słowach i gestach liturgia wyraża Boże miłosierdzie, które — wywodząc się z Krzyża i Zmartwychwstania — osiąga

każdego z nas. Człowiek wierzący nie jest w stanie słuchać o tym bez drżenia i lęku, albowiem wkracza on w samą śmierć Chrystusa jako w tą wąską, ale i prostą zarazem, drogę prowadzącą pośród odstrasających bagien.

Gdyby Kościół nie potrafił ukazać tak naprawdę miłosierdzia Jezusa Ukrzyżowanego wówczas, gdy ludzie najbardziej go potrzebują, nie spełniłby swego celu. Nie byłby już zatem nikomu potrzebny. Sól ziemi straciła swój smak i można ją jedynie wyrzucić. Jego prawdziwa obecność przy rodzinach pogrążonych w żałobie sprawia natomiast to, że będą nadal odbywały się chrzty i będzie cały dalszy ciąg życia chrześcijańskiego. Jeżeli się widzi, że Kościół dorzuca coś do równowagi, nie unika rzeczywistości śmierci, nie uchyla się przed autentycznym wypełnianiem swojej misji, wówczas ma się do niego zaufanie, albowiem niesie on ze sobą pokrzepienie innego rodzaju, aniżeli czysto ludzkie wyrazy współczucia (kondolencje). Wiareę przekazuje się także w nieprzewidywalności działania łaski podczas pogrzebu. Msza święta jest czymś o wiele większym i ważniejszym od tego, co w trakcie niej czynimy i co widzimy. Czy ktoś dowie się kiedykolwiek o tym, że wiara kogoś jednego w zmartwychwstanie, w ramach całej ceremonii pogrzebowej, może już wystarczyć do wyświadczenia zmarłemu pomocy? Cóż powiedzieć o zgorszeniu (w pełnym tego słowa znaczeniu) spowodowanym widokiem grzebania chrześcijanina, niekiedy bardzo gorliwego, bez Mszy świętej, albowiem takie zarządzenie obowiązuje w danej diecezji?

Trzeba również podjąć na nowo głęboką refleksję nad pogrzebem, który nasuwa sam przez się przemilczane nazbyt często pytanie o „cele ostateczne” Cóż to za groteskowa i śmieszna zarazem pretensja, jeśli się ktoś uważa za „eksperta w człowieczeństwie”, a milczy na tematy ponadziemskie! Śmierć, sąd, zmartwychwstanie — czyż nie są to kwestie tak centralne w wierze, by można było mówić o nich aż tak mało i tak źle przygotowywać na nie chrześcijan? A przecież chrześcijanie powinni, z samej natury swego powołania, wyrażać wobec niewierzących tę nadzieję, która w nich jest. Uniknęłoby się wtedy zgorszenia tymi ochrzczoneymi, którzy nic nie wiedzą o zmartwychwstaniu, a przyjmują reinkarnację. Wiedziałoby się także lepiej, jak poprzez śmierć zostajemy wezwani do życia samego Boga. Jeżeli Kościół nie mówi tego, co *jedynie* on może powiedzieć w tej kwestii, to inni go zastąpią i będą mówili różne rzeczy, mnożąc jeszcze bardziej błędy. Leżące ugiorem pola chrześcijańskie są świadectwem zdegenerowanej i gorszącej wprost wegetacji, zwłaszcza tam, gdzie należało prze-



kazywać wiarę<sup>4</sup>. Tym bardziej, że katecheza i pogrzeb są stawką dla tradycji naszej wiary, która stanowi naszą rację życia, a także i umierania. Bossuet głosił to na swój sposób, zapraszając swoich słuchaczy do przyścia razem z Chrystusem i zobaczenia:

„Przybieżcie więc, o śmiertelnicy, i zobaczcie w grobie Łazarza, co to jest człowiek. Przyjdźcie oglądać w tym samym przedmiocie koniec waszych zamysłów a początek nadziei. Przyjdźcie oglądać zarazem rozkład i odnowienie się waszej istoty. Przyjdźcie oglądać triumf życia w triumfie śmierci: *veni et vide*”<sup>5</sup>.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC

<sup>4</sup> Dwa wieki przed *halloweenem* niebezpieczeństwo to było wyraźnie i ze zdumiewającą dalekowzrocznością sygnalizowane przez Chateaubrianda w *Geniuszu chrześcijaństwa*: „Jeśli (lud) przestanie poddawać swego ducha religii, będzie wyrabiał sobie potworne opinie. Zostanie ogarnięty tak dalece obcym mu terrorem, że nie będzie rozpoznawał jego przedmiotu: będzie drżał ze strachu na cmentarzu, na którym wyrze napis, że śmierć jest snem wiecznym; a starając się zlekceważyć Bożą wszechmoc będzie się pytał cyganki lub będzie poszukiwał swoich losów u osób wróżących z kart. Człowiek potrzebuje cudowności, przyszłości, nadziei, ponieważ żywo odczuwa, że został stworzony dla nieśmiertelności. Zakłęcia, czarnoksiężstwo są dla ludu jedynie swoistą namiastką i instynktem religii, a także jednym z bardziej uderzających dowodów konieczności kultu. Jest się gotowym wierzyć niemal we wszystko, kiedy się w nic nie wierzy; ma się wróżbiarzy, kiedy nie ma się proroków, czary, kiedy się odrzuca ceremonie religijne, i otwiera się jaskinie czarowników lub guślarzy, kiedy się zamyka świątynie Pana”. *Génie du christianisme*, cz. III, księga V, rozdz. 6.

<sup>5</sup> Dz. cyt., s. 130. Nie wnikając w to bliżej, Bossuet zespala spojrzenie wiernych z patrzeniem Chrystusa, którego przyścia domagało się otoczenie Łazarza. W ślad za Chrystusem, który przywraca życie, jesteśmy także zaproszeni, aby przyjść i zobaczyć grób oraz znaleźć w nim obietnicę naszego własnego zmartwychwstania.